

Od autora: Moje osobiste zmagania...

Niektórzy rodzą się w bólach. Mój Ból urodził się wraz ze mną. Cięża nie była bliźniacza, ale poród podwójny. Ja i Ból przyczepiony do mojego niewielkiego ciała, przyssany jak syjamski bliźniak. Ze wspólnymi najważniejszymi organami, z jednym sercem i krwiobiegiem. Niewidzialny, choć krzykiem dawałam znać światu, że jest, że szarpie za nogę i nie pozwala spać, czy choćby przybrać innej pozycji w łóżeczku. Świat zignorował Tego, który od tej pory rządził moim życiem. Może dlatego On chciał ode mnie sto procent uwagi... Zrósł się na stałe z każdym moim ruchem. Inne dzieci miały ulubione lalki, misie, autka, zwierzątka, a ja miałam mój własny, oswojony Ból.

Kiedyś przeczytałam, że człowiek ma około 206 kości. Większość z nich jest połączona stawami. Cztery z tych połączeń to potężne, doskonale unerwione mechanizmy okolone silnymi mięśniami i ścięgnami zdolnymi utrzymać ciężar przekraczający wagę przeciętnego człowieka. Dwa stawy barkowe i dwa biodrowe. Kontuzja któregoś z nich równa się ból, który zazwyczaj jest uśmierzany maksymalnymi dawkami leków. W przypadku zwicnięcia nie ustawia się tychże stawów bez podania narkozy. Pacjenci i tak mdleją z bólu. Ja nie zemdlałam. Nie wiedziałam, że można.

Kiedy wreszcie ktoś zwrócił uwagę na Ból uczepiony mojej nogi, było już za późno na pozbycie się go. W tym czasie zdążył stać się moją niańką, która budziła rankiem, a kołysała wieczorem układając po swojemu moje niewielkie ciało. Podniósł się raban, że trzeba ratować, prostować, odrywać Ból połączony na stałe z moim krwiobiegiem i tętniący moim życiem. Podobno był to Ból nieoperowalny. Skalpel nie wchodził w grę jako narzędzie ostatecznej eksterminacji. Narkoza, szpital, unieruchomienie, biały sufit. Ten jeden raz wszystko było na odwrót. To Ból uwieszony na metalowej konstrukcji łóżka dyndał jak zdechła kawka na sznurku, taka schwyтана dla zabawy przez wioskowych gówniarzy albo jak mucha w pajęczej sieci. Tyle że pająk miał biały kitel. Kurczowo uczepiona mojego towarzysza drgałam, gdy konał w okowach, z rozpaczry wyrywałam sobie włosy, utykałam drobiazgi za gipsy i kiwałam się w rytmie własnych łez. I wreszcie Ból odczepił się ode mnie albo to ja odpadałam od niego. Pozostała po nim pustka - jak piętno wypalone na skórze nagiej i poranionej gipsem do krwi.

Przestraszyłam się samotności. Szybko znalazłam sobie nowe zajęcie. Nauka chodzenia od nowa. Trudna. Zabroniono mi biegać i skakać. Nikt nie wytłumaczył dlaczego tak. Kiedy ma się sześć lat i jest się wolnym od bólu, biegnie się z otwartymi ramionami do koleżanek, żeby nie być samotnym. Skacze się w stodole na siano i wdycha zapach wolności, nieograniczonej Nim. Ale Ból łatwo nie odpuszcza. Biegnę przez czarne korytarze świeżo zaoranego pola. Wspinam się na Mount Everest radości, rozkładam ramiona i jak baletnica unoszę się w szpagacie opita wolnością ponad tłustymi skibami ziemi. Zredukowany do maleńkiej blizny Ból tylko czekał na chwilę taką jak ta. Podcina mi skrzydła i ściąga jak kotwica do ziemi, aż upadam zaciskając z niedowierzaniem zęby.

Wróciliśmy do siebie na długie lata. Teraz byłam mu posłuszna. Kiedy wybierałam się gdziekolwiek, pytałam, czy mogę ruszyć z miejsca, czy udam mi się dotrzeć do celu. Żyłam zależna od jego kaprysów. Najmniejszy bunt surowo karał. Za każdym razem bolała inna część ciała, która śmiała się sprzeciwić memu Panu i Władcy. Najczęściej uderzał w plecy i chłostał bez litości każdy kawałek kręgosłupa. Pokulona, przekrzywiona oszukiwałam świat, że przecież nie boli tak bardzo, przecież każdemu coś doskwiera. Wierzyłam, że ten Ból to odkupienie wszystkich moich win. Przeszłych i przyszłych. Że to zaliczka na przyszłość. Więc trzymałam się go i zachęcałam czasem w dziwnym akcie niepotrzebnej

ascezy do uderzania mocniej, boleśniej, dotkliwiej.

Mieliśmy jeszcze jedną krótką rozłękę. W moim ciele zamieszkał intruz, który skutecznie wyrugował mojego wiernego kompana z tak wspaniale zapowiadającego się duetu. Hormony tańczyły w mojej krwi i łagodziły Ból. Pozbawiony pokarmu z bezsennych nocy i odsunięty na boczne tory w obliczu instynktu gniazda, poszedł sobie obrażony. Oddalił się niezbyt daleko. Ot, obserwował mnie spod oka, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie. Wrócił, kiedy życie odkleiło się ode mnie i pępowina ostatecznie została zerwana. Obrażony i niepewny skrobał cicho nad ranem. Potem coraz śmielszy stukał do drzwi po intensywnym wysiłku. I zacierał ręce. Ciało przecież coraz starsze, coraz mniej odporne, a kości coraz bardziej zużyte.

Przestraszył się, gdy najlepszy ortopeda w kraju pogroził mu placem i zasugerował endoprotezę. Ja przerażałam się nie mniej. Jak będę żyła bez jedyne go stałego elementu w moim życiu? Przecież nie mogę za wszystkie lata, kiedyśmy wspólnie kuśtykali przez świat, odwdzińczyć mu się w tak krwawy i definitywny sposób. To dlatego zawarliśmy pakt. Ból pozwolił mi spełnić marzenia o pełnej sprawności, a ja obiecałam pozwolić mu czasem przypomnieć o sobie. Bieganie, joga, jazda konna, taniec... Ale Bólowi wreszcie znudziło się takie życie. Nie chciał stać z boku, kiedy ja bawiłam się w najlepsze. Wybrał sobie więc scenografię, ustawił stosowne rekwizyty i czekał, aż osłabiona i nieświadoma wyjdę na scenę. Potem starym sposobem poczekał, aż stanę na lodzie ukrytym pod warstwą śniegu i pociągnął za nogę. Nie jakoś specjalnie mocno. Tak zupełnie od niechcienia. Znałam te jego sztuczki, więc natychmiast zareagowałam, podpierając się drugą nogą. Ale było za późno. Machnęłam ostatni raz rękami jak ptak zaplątany w sieci i z gracją, miękko jak krwawy płatek śniegu opadłam układając się nawet dość wygodnie na lewym boku. Rozbawiona swoim komicznym tańcem, zamarłam, gdy już pozbierałam się z chodnika. Ból rozrywał mnie i szarpała łakomie kawałek po kawałku. Wygłodniały karmił się moim strachem, zżerał sen, pochłaniał czas z przyjaciółmi, izolował od pracy. Przez dwa tygodnie zawładnął mną bez reszty. Pił moją krew, bo jak inaczej wytłumaczyć sińce pod oczami, słabość i utratę wagi. Bez konsultacji z nim bałam się ruszyć z łóżka. Bałam się zrobić tych kilka kroków z pokoju do kuchni. Bałam się go obrazić, licząc naiwnie, że w końcu odpuści, że złagodnieje i znów będzie jak dawniej. Jednak on nie miał dość. I ta pazerność, zachłanność, z jaką mnie niszczył nie zważając na to, że za chwilę wysysie ze mnie życie, a tym samym starci żywiciela, zmusiły mnie do walki. Tym razem stawką nie była już egzystencja wolna od bólu. Teraz to była walka o przetrwanie. To wojna, którą nie ja rozpętałam.

Znalazłam najlepszych sojuszników, specjalistów od takich jak On. Zajrzeli we mnie, pomacali, pobadali i orzekli, że przez te wszystkie lata milimetr po milimetrze kość wysuwała się ze stawu. Stawu, którego nawet nie można się było dopatrzeć na licznych prześwietleniach. Tylko dziesięć procent dzieliło mnie od katastrofy. Patrzyłam na siebie od środka, na układ kostek i kosteczek, ich trójwymiarowy labirynt i w myślach odtwarzałam trasy wędrówek mojego osobistego towarzysza. Z rozczuleniem i zrozumieniem wspominałam wszystkie otrzymane od niego razy. Ślady pozostały zapisane w kościach. Krzywizny, asymetrie, ubytki, defragmentacje... Kazali mi czekać pół roku i oszukiwać Ból lekami. Nigdy wcześniej mi to nie przyszło do głowy. Nie wpadałam na to, że można się go pozbyć choćby na chwilę. Tak symbiotyczna, niepodlegająca dyskusji była nasza więź. Życi ze sobą nie umieliśmy bez siebie istnieć. Teraz miało się wszystko zmienić. Zrezygnowałam z leków. Zabrałam Ból do domu, jak ukochane, śmiertelnie chore dziecko. Nie rozstawałam się z nim nawet na chwilę, smakując każde jego drgnienie w moim umęczonym ciele. Myślałam z żalem, że to już niedługo... Bałam się nie mniej niż On. Tchórzliwie łudziłam się, że jakoś się dogadamy. I rzeczywiście, im bliżej była ostateczna bitwa, tym bardziej łagodniał ze strachu i On. Nawet wspaniałomyślnie pozwolił kolejny raz zagoić się pozrywanym tkankom. Ba, chcieliśmy negocjować, ale chirurg-ortopeda nie miał zamiaru dyskutować.

Na salę operacyjną jechaliśmy nieco ogłupieni tabletkami przebrani w te śmieszne, zielone fartuszki, trzymając się za ręce. Potem kolejna, zabawna zmiana stroju. Jakbyśmy szykowali się na bal. Tym razem fartuszek miał kolor biały. Żartowaliśmy sobie z Bólem, że lepiej będzie krew widać. Nie chciałam go puszczać nawet na chwilę. Przejdziemy przez to razem. Pielęgniarka kazała podać mi rękę do wkłucia. Kiedy oprzytomniałam, ortopeda upychał endoprotezę w dziurze, która została po Bólu. Rozejrzałam się gorączkowo w poszukiwaniu mojego towarzysza, ale ochłap kości w metalowej misce nawet go nie przypominał. Zresztą, potem okazało się, że nawet ta zakrwawiona miazga została poćwiartowana i wykorzystana do ostatecznego wymodelowania stawu, którego nie było. Lekarz dał znak anestezjologowi. Nieznaczne skinienie głową, ale ja ich rozgryzłam. Chciałam protestować, krzyczeć, żeby oddali mój Ból, Bolesław, Bołaczek, Bólik ukochany. Lodowaty spokój popłynął przez żyłę w stronę serca i mózgu kojąc wszelkie protesty.

Obudziłam się w pooperacyjnej pełna dziwnej euforii. Obłożona monitorami, okładami, opatrunkami, kocami nie czułam pustki. Ubytek krwi uzupełniono mi sprytnie najrozmaitszymi lekami sączącymi się z kroplówki. Jakby było mało, pielęgniarka, orzekłszy, że nerki oszalały, wstrzyknęła coś jeszcze w rurkę wystającą gdzieś spod okrywających mnie koców. Błogość, miękkość, lekkość i poczucie spokoju. Tak wspominam te kilka godzin dzielących mnie od sali operacyjnej na parterze do sali szpitalnej na piątym piętrze. W miarę jednak jak sztucznie pobudzone do pracy nerki filtrowały pracowicie krew z poczucia komfortu, wracał dobrze mi znany Ból. Zmienił tylko lokalizację. Amputowany z biodra, znalazł sobie przytulny kąt przy kręgosłupie. Śmiał się w nos kroplówkom, drwił z lekarzy i pielęgniarek i kopał bez litości lędźwia.

Zacisnęłam zęby i nic nie mówiłam. Poznałam bowiem stan, w którym go nie ma. W milczeniu czekałam okazji, żeby zemścić się za wszystkie te lata, gdy dyktował mi swoje egoistyczne warunki. Nie do końca przytomna, czekałam, aż dusza wróci do ciała, myśli okleją z powrotem mózg, a ciało zacznie funkcjonować bez wspomaganie w postaci dodatkowych zbiorników i naczyń, którymi byłam obwieszona. Ból jednak postanowił, że nie będzie mi niczego ułatwiać. To takie do niego podobne. Spadek ciśnienia, przyspieszony oddech, przyspieszone kroki na korytarzu, przyspieszone bicie serca. I zimna, cudza krew ratująca przed obłędem niedotleniony mózg. Nawet On wiedział, że przesadził. Mimo to wstałam. Niepewnie i tylko na minutę. Potem znowu i jeszcze raz. Wieczorem poszłam do toalety. Ból skiełcał na progu jak wykopany za drzwi pies. Łamzał o litość, prosił o uwagę. Ignorowałam.

Uparcie ćwiczyłam zaciskając słabe jeszcze mięśnie. Mocniej, dłużej, więcej powtórzeń. Ból chodził za mną i atakował, najczęściej nocą, gdy próbowałam odpocząć po całodziennym wysiłku. Wyrzuciłam przepisane tabletki przeciwbólowe i zacisnęłam zęby. Ćwiczyłam. Jeszcze mocniej, dłużej i więcej. Rozpędzona, zmęczona, skupiona na swoim celu do granicy obłędu któregoś dnia wstałam z łóżka i zdałam sobie sprawę, że nie słyszałam od dawna żadnego głosu poza własnym sapaniem z wysiłku, że nie czułam nerwowego kłusania po obolałych mięśniach, nie czułam nienawiści i strachu porzuconego towarzysza. Uśmiechnęłam się do siebie. Nie żałuję walki z nim, nie żałuję wysiłku. Żał tylko tych lat spędzonych pod dyktando narzucanych przez niego ograniczeń.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miazga, dodano 02.03.2018 17:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.